

OD TŁUMACZA

Kiedy 24 kwietnia 1895 roku Joshua Slocum wyruszał z Bostonu w samotny rejs dookoła świata, nie miał na pokładzie ani radia, ani nawet solidnego chronometru, radar nie został jeszcze wynaleziony, a elektronicznej nawigacji i systemu GPS w tamtych czasach nikt sobie nawet nie wyobrażał. „Spray” był własnoręcznie odremontowanym drewnianym jachtem, właściwie na nowo zbudowanym przez Slocuma na bazie wraku starego kutra do połowu ostryg. Nie miał foili ani żagli z włókna węglowego, ale doświadczony kapitan, gdy tylko zobaczył niszczący kadłub, natychmiast zwrócił uwagę na jego kształt i nie miał wątpliwości, że po rekonstrukcji będzie to jednostka o doskonałych właściwościach nautycznych. Nie mylił się, jacht sprawdził się podczas wokółziemskiego rejsu równie wspaniale jak jego skiper.

Rejs był absolutnie pionierski. By lepiej sobie uzmysłwić, w jakich czasach Slocum dokonał swego wyczynu, wystarczy wspomnieć, że chociaż trudno dziś w to uwierzyć, podczas postoju w Kapsztadzie samotny żeglarz spotkał ludzi, którzy uważali, że Ziemia jest płaska. I nie byli to wcale analfabeci, wręcz przeciwnie! To tylko jedno z wielu zabawnych zdarzeń, które z właściwym sobie poczuciem humoru Slocum opisał w tej książce. O całym rejsie i innych licznych przygodach opowie sam autor, dla mnie natomiast jako tłumacza nie mniej istotny jest sposób, w jaki Joshua Slocum to robi. Narratorem jest bowiem znakomitym, pisze barwnie

i szczerze, momentami bardzo dowcipnie, czasami autoironicznie. Zachowuje przy tym skromność i dystans w stosunku do samego siebie, nie boi się przyznać do błędów, które niekiedy popełnia, ani do chwil słabości lub wzruszenia. Snuje swoją opowieść w sposób pozwalający uznać go za pisarza równie wybitnego jak żeglarza. Szkoda, że jego dzieło nie figuruje na listach szkolnych lektur obowiązkowych, bo książkę tę powinni przeczytać nie tylko miłośnicy żeglarstwa. Nie bez powodu Artur Ransome, znany brytyjski autor popularnych powieści przygodowych dla młodzieży, stwierdził, że „chłopaków, którym nie podoba się książka Slocuma, powinno się natychmiast utopić”. Zakrawa na paradoks, że ten doświadczony, wówczas 51-letni, zawodowy marynarz, który miał na koncie wiele dalekich rejsów odbytych na wielkich żaglowcach oraz na zaczynających je już wypierać z mórz parowcach, wypłynął w swą epicką podróż samotnie. Kierowała nim ciekawość świata, innych ludzi i kultur, choć z punktu widzenia dzisiejszej poprawności politycznej i językowej ktoś mógłby go uznać za ksenofoba i rasistę. Postanowiłem jednak pozostawić w tekście oryginalne sformułowania Slocuma i kiedy na przykład pisze on o „dzikich”, nie zmieniłem tego na „rdzennych mieszkańców” lub „tubylców”. Inne są dziś granice państw, odmienne realia geopolityczne, inaczej również wygląda codzienne życie na lądzie i język, którym się posługujemy. Nie chciałem poprawiać Slocuma, bo uważam, że jego relacja straciłaby na autentyczności. Dzisiaj już nikt w ten sposób nie opíše dzikiej przyrody, dziewiczych terenów i niezasymilowanych rdzennych mieszkańców różnych terytoriów, o których pisze Slocum, ponieważ jest ich już coraz mniej. Żegluga w Cieśninie Magellana, gdzie musiał kilka razy uciekać przed ścigającymi go i strzelającymi z łuków Indianami, już takimi przygodami nie grozi, a w Cieśninie Gibraltarskiej jacht zaatakują raczej orki niż berberyjska feluka z piratami na pokładzie.

A jednak mimo że od pierwszego wydania *Samotnego rejsu dookoła świata* minęło ponad 120 lat, w Stanach Zjednoczonych książka wciąż jest wydawana, a także tłumaczona, wznawiana i czytana w wielu innych krajach. Najpierw publikowana była w odcinkach – od września 1899 do marca 1900 roku – w miesięczniku „The Century Illustrated Monthly Magazine”. Jako książka po raz pierwszy ukazała się 24 marca 1900 roku, wydana w nakładzie 5000 egzemplarzy. Dziś uważana jest za pozycję klasyczną, ale nadal atrakcyjną dla kolejnych pokoleń czytelników. Jej treść się nie zestarzała, bo ludzie nigdy nie przestaną marzyć o dalekich egzotycznych podróżach, a kto choć raz wybrał się w rejs na morze, ten tym chętniej przeczyta relację Slocuma, zazdroszcząc mu tego, co widział i przeżył.

Wielu następców rudobrodego, łysiego kapitana właśnie ta książka zainspirowała do pójścia w jego ślady. Bernard Moitessier, wielki francuski żeglarz, który samotnie zrobił półtora okrążenia dookoła świata bez zachodzenia po drodze do portów, dokonał tego na pokładzie jachtu, któremu na cześć Slocuma nadał imię „Joshua”.

Mimo upływu lat relacja ta wciąż jest ciekawa i inspirująca, bo oceany pozostały bezkresne, a pokład przemierzającego je jachtu to mikrokosmos każdego żeglarza, nie tylko samotnego. Mało kto jednak o morzu potrafi pisać tak zajmująco jak Slocum, który żeglował od dziecka przez ponad pół wieku, zanim w listopadzie 1909 roku wyruszył w swój ostatni rejs – z rzeki Orinoko w kierunku Morza Karaibskiego. Od tamtej pory nikt go już nie widział, a w 1924 roku pierwszy samotny żeglarz oficjalnie został uznany za zmarłego.

Krzysztof Siemieński